

FOT. ZE ZBIORÓW WITOLDA LILIENTALA (2)

← Witold Liliental z nianią, Adolfiną Stasiewicz – Geniusią

W „Karcie" 63 przedstawiliśmy listy pisane od lipca 1941 do czerwca 1942 z getta warszawskiego do żyjących po aryjskiej stronie Stefanii Liliental i jej syna Witolda, który teraz opisuje ich przeżycia z czasu powstania warszawskiego. (RED.)

Co roku, kiedy w dziś oddalonej ode mnie o tysiące kilometrów Warszawie o 17.00 ruch uliczny staje, a syreny przypominają o godzinie W, wracają wspomnienia. Lecz cóż może być warta pamięć dziecka, które wówczas miało pięć i pół roku, a w czasie powstania znajdowało się w podwarszawskich Włochach, nieobjętych walkami?

Okoliczności przeniesienia się z Mokotowa do Włoch znam tylko z przekazu Matki. W niedługim czasie po nastaniu okupacji do naszego mieszkania na ulicy Odyńca przyszli Niemcy z rewizją. Niemiecki oficer zapytał, czyj płaszcz i kapelusz wiszą na drzwiach – i usłyszał w odpowiedzi, że męża, który jest na wojnie (mój Ojciec już w tym czasie przebywał w obozie kozielskim, a trzy lata później jego nazwisko pojawiło się na liście katyńskiej). Niemiec zwrócił uwagę na książkę na regale w języku niemieckim o słynnym pionierze lotnictwa, którą Ojciec, znający biegle niemiecki, kupił podczas służbowego wyjazdu do zakładów Zeissa w Jenie. Tytuł książki brzmiał: *Otto Lilienthal – der erste Flieger, seine Leben und Wirken* (Otto Lilienthal – pierwszy lotnik, jego życie i dzieła). To przecież to samo nazwisko.

Rewidujący nie zwrócił uwagi na szczegół, że nasze było od pokoleń spolszczone – i nie miało litery „h". *„Ist das Ihre Familie?"* – zapytał. Matka, jak mi opowiadała, w przeciągu ułamka sekundy miała przebłysk – znająca, jak większość inteligencji przedwojennej, niemiecki ze szkoły, odparła: *„Ja, das ist mein Cousin"*. Rze-

10_POGLOSY_Liliental K98 _p1_k1.indd 140 31.01.2019 12:08:00

komy kuzyn już wówczas leżał od blisko pół wieku w grobie, ale Niemiec nie znał się aż tak na historii lotnictwa. Zapytał, czy Matka jest Niemką – i znów usłyszał wierutną bzdurę, że folksdojczką. W tych początkach okupacji chyba jeszcze nie było nowych, okupacyjnych dowodów tożsamości.

Niemiec uwierzył, przeprosił za najście, ponoć wręczył mi, wówczas jeszcze noszonemu na rękach, jabłko i obiecał zjawić się nazajutrz z właściwymi kartkami żywnościowymi dla folksdojczów. Tylko że oczywiście nas już tam następnego dnia nie było. Koleżanka Mamy, dla mnie ciocia Czesia, zajmowała dwupokojowe mieszkanie na ulicy Parkowej we Włochach i przyjęła nas, wraz z moją piastunką Geniusią. Zajęliśmy we trójkę jeden pokój, a ja zaprzyjaźniłem się z synem cioci Czesi, moim rówieśnikiem Władzikiem.

Trzeba było zmienić nazwisko i wręcz tożsamość. Kiedy Niemcy ogłosili, że wszyscy Żydzi do trzeciego pokolenia wstecz włącznie mają się przenieść do getta, Matka zdecydowała – za nic w świecie. To, że nasza rodzina była całkowicie spolszczona, okupantowi nie przeszkadzało kwalifikować nas do rasy przeznaczonej do wytępienia. O swoim prawdziwym nazwisku dowiedziałem się już po wojnie, w wieku dziewięciu lat, po czym przeżyłem noc dziecięcego strachu, bo znaczyło to, że – jako „Żydek" – „nie wierzyłem w Boga, za co miałem być ukarany piekłem". Taką wiedzę miałem z podwórka.

Największej pomocy udzieliła nam Geniusia. Ona, pochodząca spod Nowogródka i zaciągająca kresowym akcentem, zgubiła jeszcze przed wojną dowód osobisty i znalazła go już po wyrobieniu sobie nowego. Miała więc duplikat, w dodatku prawdziwy i pochodzący ze strefy zajętej przez Sowietów, czyli bez możliwości zweryfikowania. Wystarczyło zmienić zdjęcie. Resztą zajęli się przychylni ludzie organizujący tajne nauczanie. Moja Matka według lewych papierów nazywała się Adela Stasiewicz i oficjalnie była moją chrzestną. Ja byłem Witoldem (wówczas Witusiem) Stasiewiczem, urodzonym w Milkiewiczach, powiat nowogródzki. Geniusia, bo tak ją nazywaliśmy (naprawdę Adolfina Stasiewicz), była oficjalnie moją matką i przez cały czas wojny miałem zwracać się do niej „Mamusiu". Do niby chrzestnej, ale w rzeczywistości prawdziwej Matki mówiłem „Matusiu" i czułem podświadomie większą więź z nią. Geniusia przez cały czas wojny pomagała nam zaopatrywać się w trudne do zdobycia jedzenie, przywożąc je z narażeniem życia z pobliskich wsi. 28 listopada 2018 została pośmiertnie uhonorowana medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Któregoś dnia (to już dobrze pamiętam) obudziłem się rano i zastałem w naszym pokoju dziewczynkę trochę zapłakaną i chyba przestraszoną. Matusia powiedziała, żebym przywitał swoją nową siostrzyczkę Anulkę. Rodzice Anulki, krewni mojego Ojca, uciekli gdzieś na wschodnie tereny Polski. Kiedy tam weszli Niemcy, ktoś ich wydał, a oni, wiedząc, że idą na śmierć, dali Anulkę jakimś przyzwoitym ludziom ze wsi, którzy się nią zaopiekowali. Moja Matka jakoś się o niej dowiedziała i znajoma Anulkę przywiozła. Poszliśmy do ks. Juliana Chrościckiego, który polał jej głowę wodą i coś mówił w niezrozumiałym dla mnie języku, a potem powiedział, że Anulka spisała się bardzo dzielnie i żeby się nie martwić, bo metryka jest autentyczna, tylko data wpisana inna. Anulka została z nami i w krótkim czasie się zadomowiła. Starsza ode mnie o rok nawet broniła mnie na podwórku w sporach z innymi dzieciakami. Dziś żyje w Manchesterze i ma wnuki.

Sąsiadów mieliśmy dobrych. Większość z nich zdawała sobie sprawę z tego, kim jesteśmy, ale przez cały czas okupacji nikt nigdy nie zrobił donosu. Raz tylko pani R., mieszkająca na samym poddaszu, po wejściu z Geniusią w spór o jakieś miejsce do wieszania prania na strychu, zaczęła głośno krzyczeć, że tu przechowują żydowskiego bachora. Pamiętam, jak Geniusia wychyliła się przez okno, skręciła głowę w górę i swoim śpiewnym kresowym akcentem odkrzyknęła: „Pani R..., pocałuj mnie pani w dupa!". Pani R. już nigdy więcej nas nie zaczepiała. Podejrzewam, że zagroził jej jeden z lokatorów, ktoś zaangażowany w działalność konspiracyjną.

Przez kilka lat okupacyjnych Matusia wyjeżdżała z domu, czasem na kilka dni, czasem zabierała nas do Konstancina, gdzie w willi państwa Schiele uczyła ich córkę Litkę i inne dorosłe dziewczynki. Kiedyś wróciła z Warszawy bardzo zdenerwowana, mówiąc, że widziała uliczną egzekucję. Od pewnego czasu zaczęto u nas w domu mówić o jakichś bolszewikach, którzy mieli iść do nas i wszyscy się podobno tak samo bali ich, jak i Niemców. Sam dźwięk słowa „bolszewicy" w moich uszach brzmiał groźnie.

10_POGLOSY_Liliental K98 _p1_k1.indd 141 31.01.2019 12:08:00

Do tego, że Matusia wyjeżdżała do pracy, nawet na kilka dni, a myśmy zostawali w domu, byliśmy z Anulką przyzwyczajeni. Kiedy wracała, była radość. Czasem zabierała nas do Warszawy, do której jeździło się niebiesko-żółtą kolejką elektryczną zwaną EKD. Jak się wsiadało do niej na pętli przy Chrobrego, polski konduktor wstawiał za pierwsze dwa rzędy miejsc żółto-czarną barierkę z napisem *„Nur für Deutsche”*.

Pewnego dnia, nazajutrz po tym, jak Matusia ponownie wyjechała, dzieci z podwórka i dorośli zaczęli powtarzać słowo „powstanie”. Nie bardzo wiedziałem, co to znaczy, bawiliśmy się na podwórku nadal, ale jak zapytałem, kiedy Matusia wróci, usłyszałem, że nie wiadomo. Kilka dni minęło, ona nie wracała, trochę tęskniłem, ale tyle się zaczęło dziać, że skutecznie zajęło moją uwagę. Do naszego domu wprowadził się oddział niemiecki. Wszystkim kazali się wynieść na górę i zajęli oba pokoje, w jednym do sufitu był skład karabinów, w drugim spali oficerowie. Na podjeździe z boku i z tyłu domu stanęły samochody z białymi krzyżami z czarną obwódką. Niemcy nie byli agresywni, traktowali nas bez krzyków i złości. Jeden z nich mówił płynnie po polsku i bardzo polubił Anulkę. Robił jej zabawki z kasztanów, które obficie opadały na ziemię. Wieczorami widać było czerwony blask na niebie od strony Warszawy. Ludzie mówili, że Warszawa płonie. Na niebie ciągle pojawiały się samoloty i wokół nich wybuchały czarne dymki. Starsze dzieciaki mówiły, że to „Ruscy” strzelają z dział przeciwlotniczych. Raz nawet widziałem jakiś samolot płonący w powietrzu. Leciał, ale otoczony wielkimi językami ognia. Któregoś dnia mieliśmy widowisko. Z nieba spadały spadochrony. Starsze dzieciaki krzyczały: „Desant!”. Ale na spadochronach spadały paczki, nie ludzie. Niektóre z nich trafiały nawet na nasze podwórko z tyłu domu. Niemcy kazali nam siedzieć w mieszkaniu i nie wychodzić. Sami wszystko pozbierali. Raz zjawili się na naszym podwórku jacyś inni żołnierze, w innych mundurach, mówili nieznanym językiem i byli nawet sympatyczni. Wyraźnie zmęczeni, położyli się pod rozłożystym drzewem z tyłu domu i zasnęli. Nazajutrz odeszli. Ludzie mówili, że to Węgrzy. A Matusia ciągle nie wracała.

Pewnego dnia Geniusia wzięła Anulkę i mnie za ręce i poszliśmy do składu opałowego, na rogu ówczesnej ulicy Majewskiego (dziś Śląskiej) koło przejazdu kolejowego. Byliśmy



↑ Włochy pod Warszawą, prawdopodobnie 1943. Witold Lilental (z lewej) z przyjacielem Władzikiem

w składzie, kiedy usłyszeliśmy w bliskiej odległości strzał. Po kilku sekundach do środka wbiegł Niemiec w hełmie, groźnie krzycząc coś na nas w swoim języku. Wyciągnął z kabury pistolet i rozbił nim, jak się okazało, pustą skrzynkę wiszącą na ścianie budynku, a potem wymierzył go wprost na nas. Wyglądało na to, że czegoś szukał. Staliśmy, sparaliżowani strachem. Geniusia mocno ściskała nasze ręce. Po chwili do składu wbiegł inny żołnierz i coś mu do ucha powiedział. Ten pierwszy schował pistolet i odszedł bez słowa. Staliśmy jeszcze tak przez chwilę, bojąc się ruszyć, ale wszystko wróciło do normy i w składzie na nowo zaczęto odważać węgiel. Kiedy wychodziliśmy, po ulicy szedł jakiś chłopiec i płakał, prowadząc na sznurku kozę. Za nim szli dwaj żołnierze niemieccy z karabinami wycelowanymi w niego. Ludzie na ulicy mówili, że Niemcy złapali jakąś Żydówkę z synem, ją zastrzelili na miejscu, a synowi dali kozę i kazali ją prowadzić. Gdzie z nim poszli, nie wiem. Wróciliśmy do domu, ciągnąc wózek z węglem.

Chyba nazajutrz rano wydarzył się cud. Stałem z dzieciakami przed furtką od strony ulicy, gdy nagle, od strony ulicy Piastowskiej (dziś Wilczyckiej) zobaczyłem idącą w naszym kierunku Matusię! Rzuciłem się pędem do niej

10_POGLOSY_Liliental K98 _p1_k1.indd 142 31.01.2019 12:08:01

i uczepiłem na szyi. Była przemęczona, słaniała się na nogach, ale była! Kiedy weszła do jednego pokoju naszego mieszkania, który Niemcy nam po jakimś czasie zwrócili, kiedy już skończyła przytulać się do Anulki i Geniusi, zaczęła opowiadać coś o Pruszkowie, o jakimś dobrym polskim kolejarzu i o leżeniu plackiem w wagonie na bocznicy. Dziś wiem, że gdy wyjechała do Warszawy na tajne nauczanie, powstanie zatrzymało ją na Czerniakowie, gdzie kilka tygodni przeżyła w schronach, pod bombami i wymianą ognia. Wraz z ludnością cywilną wyprowadzona była przez Niemców do Pruszkowa. Razem z nią była znajoma z mężem. Matusia opowiadała, jak po drodze miejscowi ludzie rzucali do maszerującego tłumu pomidory, które wielu pozwoliły zaspokoić dręczący głód. W Pruszkowie znajomym udało się przekonać, nie całkiem bezinteresownie, polskiego kolejarza, żeby ukrył ich we trójkę w jakimś wagonie na bocznicy, skąd nocami, na piechotę, Matusia dotarła do Włoch. Znajomi mieli swój cel gdzie indziej.

Niemcy nadal okupowali część mieszkania. Kilka dni po powrocie Matusi ten sam Niemiec, który mówił płynnie po polsku, siedząc na stopniu wojskowej ciężarówki i trzymając głowę w dłoniach, zwrócił się do niej, skarżąc się na straszny ból głowy. Matusia zaoferowała jakiś proszek, ale on odrzekł, że na to żaden proszek nie pomoże, przy czym wskazał na łunę nad Warszawą, dobrze widoczną nawet z Włoch. Matusia odparła, że chyba jego ten widok nie powinien przyprawiać o ból głowy. I wówczas on wyznał, co go gnębi. Nazywał się Bronisław Krasiński i pochodził z Krosna. Ojciec był Polakiem, matka Niemką. Kiedy osiągnął odpowiedni wiek, wysłano go na studia do Berlina, gdzie po jakimś czasie, jak sam mówił, zniemczał. Wraz z wybuchem wojny został zmobilizowany do Wehrmachtu. Widok płonącej Warszawy i świadomość tego, co hitlerowcy zrobili z Europą, przypomniały mu, że jest też Polakiem. Teraz nękały go wyrzuty sumienia. Miał podobno siostrę w Krośnie, która pozostała Polką.

Gdy nastały chłodniejsze dni październikowe i ludzie wokół mówili, że powstanie upadło, po domach zaczęły chodzić patrole żandarmerii, sprawdzając, czy nie ukrywają się tam uciekinierzy z Warszawy. Do dziś mam w oczach żywą scenę, kiedy do drzwi naszego mieszkania załomotali żandarmi z blachami na piersiach. Matusia otworzyła im i oni natychmiast zażądali od niej dokumentów. I nagle w korytarzu pojawił się pan Bronisław, jak zaczęliśmy do niego się zwracać, zastawił Matusię swoją osobą w mundurze niemieckim i powiedział: *„Halt, das ist meine Frau”* (Stać, to moja żona). Zasalutowali i odeszli. Nie umiem powiedzieć, ile ryzykował, nie pamiętam jego stopnia wojskowego. Ale moja Matka jeszcze raz w czasie tej wojny cudem uszła z życiem.

Przyszła jesień i szaruga. Wojsko niemieckie nadal mieszkało u nas, ale z jednego zwolnionego pokoju można było wyglądać przez okno na stronę ulicy. Pewnego dnia rozeszła się po całych Włochach wieść, że aresztują mężczyzn. Ludzie bali się, nie wychodzili z domów. Wraz z Władzikiem, moim przyjacielem lat dziecięcych, patrzyliśmy przez okno. Widzieliśmy groźnie wyglądającego Niemca kręcącego się po ulicy w pobliżu naszego domu. W ręku za plecami trzymał cienki kijek i lekko siebie samego nim uderzał. Władzik szepnął mi na ucho, że ma mi coś do powiedzenia, ale że to jest tajemnica, bo jakby Niemcy się dowiedzieli, to wszystkich by rozstrzelali. Wpierw musiałem przysiąc, że nigdy, ale to nigdy nie powtórzę tego, co mam usłyszeć. Kucnęliśmy tak, żeby znaleźć się pod parapetem i wówczas usłyszałem słowa, które brzmiały jak jakieś magiczne zaklęcie: „Książę Józef Poniatowski dobrze Niemców kropił, tylko to nieszczęście, że się nam utopił”. Gdy tak dumaliśmy nad losem księcia, w pewnej chwili ktoś zapukał do drzwi. Zbledliśmy obaj. Pewnie przychodzą po nas, bo dziś jest łapanka na mężczyzn w całych Włochach. A może ktoś usłyszał o księciu Józefie? Anulka, bardziej odważna i praktyczna od nas, zamknęła nas w szafie i kazała być cicho, a sama podeszła do drzwi. Okazało się, że to tylko sąsiad z góry.

To był dom mojego dzieciństwa. Jakiś okruch historii przetoczył się przez niego i dotknął ludzi w nim mieszkających.

Witold Liliental
(ur. 1939) – doktor nauk technicznych, dziennikarz, od 1981 roku na emigracji, najpierw w USA, potem w Kanadzie. Za działalność w środowisku polonijnym odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej, medalem „Pro Memoria” oraz odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

10_POGLOSY_Liliental K98 _p1_k1.indd 143 31.01.2019 12:08:01